Lwów, 11. Stycznia. Nr 3. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.—półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każ. dorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha*

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Żyrmuński który się pryncypała obawiał, na kilka dni jeszcze przed zjazdem pobiegł do Kraśnego po radę. Zastał Hawnula jak zawsze samego jednego w pierwszej izbie, bardziej jeszcze chmurnego niż kiedy, niespokojnym krokiem mierzącego pokój, ze spuszczoną głową i brwią nawisłą.

— Szanowny panie, rzekł prawnik — przybyłem ostatecznie spytać pana co robić mamy, chciałeś pan kommissyi na gruncie, nie taję że ona na złe wyjść nam może. Upieramy się za kopiec uważać Czerczą mogiłę. ..

— Bo to kopiec graniczny!

— Dla czegóż lud mogiłą go zowie!

— Lud głupi sam nie wie co plecie.

— A jeśli się okaże mogiłą? zawołał Żyrmuński który był dosyć przesądny... jeźli dla płochej sprawy naruszym spokój nieboszczyka?

— Co waćpan nazywasz płochą sprawą, ofuknął gwałtownie dziedzic Krasnego — kawał ziemi, najpiękniejsza łąka! A nieboszczyk! zaśmiał się dziko i błysnął wejrzeniem złowrogiem — wyspał się dosyć w mogile, niezaszkodzi mu gdy się przewietrzy...

Ten niewczesny żarcik słysząc Żyrmuński, poczuł dreszcz chodzący po skórze, pożałował że się sprawy podjął, i że w nią rękę umoczył. —

— Może to panu nie czyni żadnego wrażenia naruszać spoczynki zmarłych, ale daruj mi pan że nie podzielam w tym zdania jego... Mogiła dla mnie święta! a lekko prochy ludzkie poruszać... a! kto wie co z nami będzie...

— Z nami, odparł szyderczo Hawnul — albož to waćpana obchodzi, co z nim zrobią po śmierci? Mnie przyznam się waści, wszystko jedno czy ciało rzucą pod płotem, czy je pogrzebią na święconej ziemi.

Adwokat był pobożny i wzdrygnął się na te słowa, które go przejęły strachem.

— Na miły Bóg, zawołał, co pan dobrodziej mówisz.. na co wyzywasz nieszczęścia!

— Ot mówmy o sprawie, odparł Hawnul machając ręką obojętnie... choćby to była i mogiła, wątpię czyby mieli cierpliwosć dokopać się do nieboszczyka; a jak kości jego nieznajdą, wygrana nasza... Ale tak źle nie sądzę! Któżby u licha chciał-by się kazać pogrzebać w błocie na hrudku, bez smentarza?

— Różnie się trafia, rzekł doświadczeńszy Żyrmuński, w starych wiekach obyczaj był różny od naszego; potem trafiały się wypadki nagłej śmierci. Pan wiesz co za podanie jest o mogile?

— Waćpan już i podanie złapałeś? spytał Hawnul.

— Badałem ludzi, rozpowiedzieli mi co od pradziadów u nich o Czerczej słychać... wszyscy sądzą że to mogiła pewnie.

— No! a któż w niej pochowany....

— Pan Bóg wie, jedni powiadają że kniaź który się nazywał Czerniej, inni że od imienia Czernca, który u boku jego poległ i razem z nim został pogrzebiony, mogiła miała przybrać nazwanie. Tandem historja taka... że kniaź ów w sporze o posiadłości z sąsiadem, wyjechał na pole i gdy się klął wywodząc granicę, od piorunu ubity został. A że z nim był czerniec, co go do przysięgi fałszywej przywiódł i temu niebo nie darowało. Sami chłopi jak to naród jest ciemny, dodał Żyrmuński, plotą o bitwie, w tem miejscu po nocy stoczonej między braćmi, która była karą Bożą, za nieusłuchanie rozkazów umierającego ojca! A dosyć że *unaaimiter* świadczą iż to jest mogiła.

— Niech że ich wszyscy diabli porwą razem z mogiłą i nieboszczykiem! zawrzał Hawnul — waćpan sobie rób co chcesz.... a ja od swojego nie odstępuję. Niemamy innego sposobu ratowania się, tylko się musimy grzebać w tym kurchanie, ale że to rzecz stara, i nieboszczyk zgnić musiał, któż nam dokaże że to nie kopiec?

Żyrmuński jako to był człek Boga się bojący i nie rad zadzierający z nieboszczykami, złożył papiery na stole, chwilkę pomyślał, pasa poprawił i rzekł zimno:

— Strona przeciwna jakkolwiek pewna niemal wygranej, ile to z Turzona wyrozumieć mogę, gotowaby skończyć kompromisem, bo i im mogiłę kopać nie miło. Spróbujemy? Łąkę przez pół, i nowe kopce posypać i spokój święty.

Pan Samuel słysząc to aż poskoczył.

— Jak mi to waść śmiesz prawić, krzyknął, co to ja dziecko? Kiedy strona przeciwna do zgody się skłania,

pewnie to jest kopiec nie mogiła, u mnie wszystko albo nic, a ustąpić pókim żyw nie ustąpię...

— Chciej że sobie waćpan innego obrońcę umówić, rzekł pan Żyrmuński, bo choćby się ze mnie miał śmiać świat cały, ja powodem ani uczestnikiem w naruszaniu popiołów czyichś być nie chcę i nie będę.

Ofuknął się srodze Hawnul za tą jak nazywał zdradę, ale pan Żyrmuński stanął ostro, wziął za czapkę, pokłonił się, wsiadł na wózek i pojechał.

Hawnul też zaprządz kazał i za nim do miasteczka klnąc poleciał, ale rozmyśliwszy się w drodze, kazał zajechać do dworku pana Matiasza Wiły. Człowiek ten w bardzo był złej renomie w okolicy, choć jawnie mu nic zarzucić nie było można. Pobożniejszego nadeń rzadko było znaleźć, pokory mu nikt nie odmówił, i szelmostwa żadnego palcem nie umiano wytknąć. — Pletli przecież dziwy o nim, o przewrotności jego, o sprawach których się podejmował, o fabrykacjach dokumentów, o podstępnych wikłaniach stron, o sprzedawaniu aktów i t. p. Z tego powodu nikt Wiły nie używał, a choć mu się kłaniano z daleka, opuścili go ludzie tak, że gdy wszedł w kompanią gdzie kilka osób się znajdowało, jakby makiem posypał, wszelka się urywała rozmowa i po chwili kto mógł, brał za czapkę i zmykał.

Wiła żył w towarzystwie takich jak sam odrzutków i znosił to z udaną pokorą, ale z gniewem w sercu. Nie był to jeszcze człek stary ale blady, wynędzniały i jakby zjedzony brzydkim jakimś nałogiem; trzymał się zgięty, kaszlał i nieśmiał nikomu prosto spojrzeć w oczy. Mieszkał ustronnie, w domku zawsze różnych podejrzanych kobiet pełnym, brudnym, niechlujnym i żył skąpo a przecie w nędzy na oko.

Niewiadomo jaką myślą pchnięty udał się pan Samuel do niego, ale dobrze trafił, bo Wiła w papiery nawet nie patrząc, okazał wielką znajomość miejscowości, i nim mu Hawnul rzecz miał czas opowiedzieć, sam już stan sprawy mu wyłuszczył.

— Ja to sam, rzekł po cichu z pokorą, trochę jestem krewny Kraśniańskich, miałem dawniej w ręku ich papiery. Stan kwestyi nie jest mi obcy... a co się tycze Czerczej...

— Ale ć to nie jest mogiła? zapytał Hawnul. Wiła obejrzał się, przysunął z stołkiem i rzekł cichutko.

— Owszem mości dobrodzieju, to jest mogiła... ale to może być i kopiec.

— Jakim sposobem?

— Ale to długa historya, rzekł adwokat.

— Może o Czernym kniaziu? spytał Hawnul.

— Znam i tę, odparł Wiła, lud sam nie wie co plecie i coby miał pamiętać, to woli komponować. Rzecz się ta miała inaczej. Trzeba byś waćpan dobrodziej wiedział, że matki mojej ojciec rodził się z Huńcewiczównej.

— Ale i ja jestem w powinowactwie z Huńcewiczami.

— I to wiem, i przez kogo nawet, z flegmą ale wzrokiem mierząc Hawnula rzekł Wiła.

Ale w tej chwili cały w ogniu zerwał się z siedzenia konsultant i zawołał:

— Zkąd waćpan to wiesz?

— Niech pan niezważa, ja wszystko wiem, rzekł cicho adwokat, — ale co ja wiem to jak kamień w wodę.

Na twarzy Hawnula silne znać było wzruszenie którego długo pohamować nie mógł, drżał, bladł i wreście przemógłszy się, usiadł na oko spokojniejszy nieco.

— Otoż, co chciałem mówić, kończył Wiła.

Huńcewicze byli posiadaczami Krasnego lat temu dwieście, i ta nieszczęsna mogiła pokrywa nie Czercza kniazia, nie kogo innego, tylko Polykarpa Huńcewicza.

Rzecz się tak miała.... Było ich dwóch braci, Paweł i Polykarp, który jeśli się nie mylę po matce przypadnie panu dobrodziejowi praszczurem.

Hawnul znów się zastanowił.

— Paweł i Polykarp srodze się nienawidzili niewiem czemu... Licho nadało jeszcze pannę Łowczankę Malinowską, o którą się oba starali... którą Polykarp z przed nosa schwycił bratu. Ztąd nienawiść większa jeszcze, codzienne waśnie i coraz sroższa braterska zajadłość i przyszło do tego że się wyzwali na rękę i Paweł zabił Polykarpa na tym właśnie hrudku, gdzie mu usypano mogiłę, którą lud Czerczą zowie... Ale cóż, z owczesnych wykazuje się papierów, że go we wściekłości niepojętej tak porąbał w drobne sztuki, iż gdy pogrzeb sprawić przyszło na rozdrożu, to go na smętarz xiądz fanatyk wziąć nie chciał, ledwie garść kostek znaleziono... Dwieście lat temu mości dobrodzieju, dodał adwokat i śladu trupa nie będzie... jak dziś pamięci wypadku już niema.

Hawnul pobladł widocznie i słowa nie rzekł, niewiadomo co tam jeszcze rozprawiali z sobą i co uradzili, dość że Wiła podjął się sprawy, wziął ją na siebie, i pan Samuel do domu odjechał wieczorem, papiery mu zostawiwszy.

Ale czy to wiadomość że miał naruszyć mogiłę przodka swej matki, czy inny jaki powód, znacznie mu humor popsuł, tak że do domu gdyby niemy powrócił, do żony nie poszedł, nawet i całą noc tłukł się bez snu jak Marek po piekle.

O całej tej historyi, tyczącej się Huńcewiczów nienawiści braterskiej i tragicznej śmierci jednego z nich, nikt zdaje się w okolicy nie pamiętał, a tradycja jak widzieliśmy wcale inny przypisywała początek Czerczej mogiłe ale że kopiec powszechnie mogiłą zwano, wieść o rozkopywaniu go wielkie zrobiła na wszystkich wrażenie.

Pan Stefan Wilczura nawet mocno się namyślać począł i skutkiem skrupułów jego sumienia było, że pocz sam nakłaniać się do zgody, obawiając się by z przycz

ny jego uporu popioły umarłego ruszone nie były. Ztąd pan Filip miał polecenie do Żyrmuńskiego się udać i oświadczyć mu gotowość pojednania, co z potrzebną uczynił ostrożnością, ale jak widzieliśmy krok ten zamiast dobrego przyjęcia, wywołał tylko ze strony Hawnula zupełną odmowę. Całe sąsiedztwo wiedziało i to, że Wilczura od swego chciał odstąpić byle mogiły nie rozkopywać, i że Hawnul się na to nie zgodził, uparcie stojąc przy poszukiwaniu prawem dyferencyi.

Pan Stefan czysty na sumieniu, gdy się dowiedział że polubownie do zgody przyjść nie może, zatarł ręce, zastanowił się chwilę i rzekł:

— Ha i no, dziej się wola Boża — niech na kaziciela spokojności spadnie zgwałcenie pokoju umarłych... chce dowodu szukać w mogile, będzie go miał.

Dzień wyznaczony na zjazd zbliżał się wreszcie, a z sądu wysłani być mieli podsędkowie Bruderkowski i Szumczykiewicz; oprócz nich sami aktorowie i obrońcy na gruncie stanąć zamierzali. Bruderkowski który się w urzędowych aktach podpisywał *per extensum* Jan Piotr Eustachy von Bruderhof Bruderkowski, był szlachcicem inflantskim, którego ojciec przesiadł się w te strony, ożenił bogato i nazwisko swe Bruderhof na Bruderkowskiego spolszczył. Śladu już w synu nie pozostało pochodzenia ojcowskiego, bo zrodzony i wychowany tu, nic w sobie niemieckiego nie zachował. Owszem sercem i duszą przylgnął do ziemi co go wypiastowała; trochę tylko za wysoko cenił swoje *von* do którego tytulik jakiś miał podobno prawo przyczepić; a z resztą najlepszy człowiek, urzędował zapałczywie, polował podobnież i od wszystkich był lubiony. Bruderkowski był maleńki, ryżowaty, okryty piegami, co za tem idzie, zdrów, rumiany, pękaty, uśmiechający się, co chwila powtarzał — *O! la Boga!* Kierowali nim kto chciał, bo nikomu nic odmówić nie umiał, nie żeby mu brak było głowy, ale że serce miał za miękkie i nie umiał wcale odmawiać, co go często w ciężkiem stawiło położeniu.

Szumczykiewicz, kolega jego, wielki i sławny we wszystkiem minucista, stary gaduła, tem się tylko odznaczał, że cokolwiek czynił, mówił, myślał, musiał spełnić jak najsystematyczniej, jak najpunktualniej i wedle pewnego planu, od którego niepodobieństwem było go odciągnąć. Flegmatyk, powolny, potrzebował wiele czasu na decyzyą, na ogarnienie przedmiotu, ale raz powziętej myśli nic mu w świecie z głowy wybić nie potrafiło.

W powiecie i palestrze znano go pod przydomkiem *Katona* lub *Impavidus'a*; najnieznośniejszym był z powodu że ani swojego ani cudzego nie żałując czasu, obojgiem szafował tak, że co inny w godzinę by zrobił, on na to potrzebował dni kilka.

Znamy już choć trochę pana Stefana Wilczurę, i jego obrońcę Filipa Turzona, Hawnula i Matjasza Wiłę, możemy więc przewidywać jak zjazd i dukt na gruncie się odbył.

(C. d. n.)

Do Samuela Kossowskiego.

Smutno nam, smutno pod rodzinną strzechą,
Choć między swemi tak miło i błogo,
Zawsze czekamy na kogoś z pociechą,
Ale z pociechą niewidać nikogo!
Myśl ta nas dręczy i zawsze i wszędzie:
Co było wczoraj, dziś i jutro będzie!

Smutno nam, kiedy przed stęsknione oczy,
Promień nadziei błyśnie i odleci,
A niebo nasze nocą się omroczy,
Zanim myśl jego do duszy zaświeci,
O! za tą myślą gonimy daremno,
Bo w naszym domu bezładno i ciemno!

O łzę samotną nie trudno nam wcale,
Lecz ta przepada jako ślad pielgrzyma,
Cóż nam pomogą nasze łzy i żale?
Gdy jednej myśli między nami niema,
Myśli, co wspólnie, w tysiącach poczęta,
Świeci na drogę, jakby wiara święta! —

Niegdyś i myśmy wierzyli inaczej,
Ucząc się wiary w rodzinnym kościółku,
Dzisiaj się obcej chwytamy rospaczy.
A dawna wiara bez czci i przytułku.......
Dziś się błąkamy, płacząc nad mogiłą,
Chociaż uwierzyć tak słodko i miło!

Coś ty pomyślał, myślało tysiące,
Gdyś w strunę wiary rodzinnej uderzył,
I zeszło dawnej pobożności słońce,
A w rozkosz wiary każdy z nas uwierzył,
Niech ci ta prawda będzie upominkiem:
Że myśl i wiara stają się uczynkiem!!—

J. Z.

JEDNODNIÓWKI.

(Ciąg dalszy)

Dzięki wojnie kokoszej, a bardziej dzięki przemyślance czarnookiej, ród Junoszów rozrósł się w trzy potężne konary. Jednonogi ich rodzic, który dla tego umarł, że król jego umarł, zostawił im w puściźnie tradycyjnie słynną inspiracyą rodową, która cały ród prowadziła dotąd przez piaski żywota politycznego, jak ów słup ognisty

unoszący się nad arką ludu wybranego, gdy po arabskiej pustyni szukał swojej ziemi obiecanej.

Światłość ta atoli dziedziczna rodu Junoszów była nadto efemeryczną, aby mu oświecić drogę najbliższej przyszłości; nietylko bowiem, że w pochodzie swoim owej wymarzonej ziemi obiecanej nie znalazł, ale i tę, którą miał, przez swoje zdrożności utracił.

Jakaś fatalna konstelacya ciężyła na rodzie Junoszów, i zdaje się, że powodu tego upadku moralnego szukać należy w owej fałszywej inspiracyi ojca rodu, Marcina Junoszy, którego bezbożna ręka targnęła się na nietykalne ciało królewskie. Odtąd kara boża zdaje się ciężyć na Junoszach, i okazuje się jasno w fałszywych ich inspiracyach, których atoli ściśle trzymają się wszyscy Junosze.

Przeszłoby zakres założonej naszej pracy, gdybyśmy chcieli wszystkich Junoszów z kolei wyliczyć i ich w toku życia publicznego i społecznego aż do czasu naszego poprowadzić. Pasmo tych zajść i wydarzeń jest tak zmotane, w tylu miejscach przerwane, w innych niezgrabnie nasztukowane, że uważamy za rzecz sumienia, nie wdawać się wcale w szczegóły ówczesnego żywota narodowego, które za nadto są od nas odległe, abyśmy w ich zestawieniu mogli wybitnie typ naszych jednodniówek wykazać. Perspektywa czasu odsunęła się za daleko od naszego oka, aby w drobnych jej rysach, szukać precyzyi i jasnego odznaczenia. Kilka nieznacznych kresek tworzy nieraz ważny fragment dziejowy, a chociażbyśmy na takowe uwagę widzów zwrócić usiłowali, usłyszelibyśmy z niejednych ust: *non sum dignus miraculum videre*, chociaż przecież ludzie cuda widzieli i widzą.

Zresztą nawet w archiwum Junoszów nie mogliśmy nigdy zupełnego wątku do historyi ich rodu zaczerpnąć. Albowiem jak w życiu pojedynczych ludzi, tak i w rodach dawnych znajdują się luki, o których niewiedzieć, czyli je wydarły kule nieprzyjacielskie, czyli wypruchniały i wypadły, jak wypadają zęby przy życiu miękkiem i rozkosznem. A niechcemy się targnąć na świętość pisma i tradycyi, jak to niektórzy historycy czynić zwykli, i przypuszczeniami i różnemi konjekturami dzieje rodu pomotać, a co najgorsza zfałszować. Wyznajemy więc naszą nieudolność w systematycznem opowiedzeniu dziejów Junoszów, a żeby przerwę aż do lepszych źródeł jakoś wypełnić, podajemy tutaj małe zapiski i konotatki, tak, jakeśmy je bądź w papierach Junoszów znaleźli, bądź z ust wiarygodnych zasłyszeli.

Kazimierz Junosza zostawił trzech synów, a zwali się Jacenty, Wicenty i Inocenty. Najmłodszy jakoś najmniej do szabli wprawny, blady i przychudły pozostał przy sosze i glebie, gdy tymczasem dwaj jego bracia, posiadający w całym splendorze butną rodzica swego minę, posiedli byli najczyściejszą rodu inspiracyą i nieocenioną sztukę krzyżową.

Sztuka krzyżowa i inspiracya były to wprawdzie wyborne rodu tego przymioty, ta jednak między niemi zachodziła dywersia, że pierwsza była s traszną nosom przeciwników, druga zaś najczęściej własnych głów ich pozbawiała.

Wszędzie bowiem byli czynni Junosze, a gdzie tylko w sprawie publicznej czyli towarzyskiej dwa pałasze zabłysły, można było z pewnością sądzić, że jeden do Junoszy należał. A że istotę tego rodu stanowił najczyściejszy efemeryzm, toć i wiedzieć nie można, jakiej sprawie kiedy który z Junoszów służył. W każdym gwałtowniejszym wytrysku żywota narodowego miał udział jakiś Junosza, a nawet bierze nas pokusa wierzyć w sobowtóry, jeźli w jednym i tym samym czasie, jednego i tego samego Junoszę, w dwóch przeciwnych spostrzegamy obozach, a w każdym za jego sprawę walczącego. Przechód z jednego zdania w drugie jest często tak subtelny, tak nagły, jakimsiś dziwnym spowodowany wypadkiem, że patrząc na niego bez mikroskopu, nie bylibyśmy go nigdy dostrzegli.

Owoż by wglądnąć w żywot podobnej efemerycznej istoty i w nim pojedyncze zbadać epoki, potrzeba szkieł milion razy powiększających, aby te wszystkie drobne przedziałki rozpoznać i przeczytać, z jakich składa się człowiek-jednodniówka. Są to obrazki dagerotypu, odbite w chwilach natchnienia czyli inspiracyi, które razem zebrane tworzą dziwaczne album życia ludzkiego, pełne poezyi wzniosłej i szlachetnej, graniczącej oraz z potworami zdrożności ludzkich, nigdy atoli w chwili czynu siebie nieświadomych. Na tem też opiera człowiek-jednodniówka swoje usprawiedliwienie, i tem najczęściej sumienie uspokaja.

Obok inspiracyi i sztuki krzyżowej znaną była w rodzie Junoszów pobożność i bezwzględna uległość kościołowi rzymskiemu. Zkąd się jednak to wzięło, że po śmierci Zygmunta Augusta w szeregach konfederacyi różnowierców, zawiązanej przez Firleja, nagle jednego z Junoszów widzimy? Wprawdzie widzimy w tej konfederacyi nawet kilku biskupów, a chociaż takowych Prymas Uchański jeszcze zawczasu od tej herezyi oderwał, było to jednak dostatecznym dla Junoszy powodem, zaciągnąć się pod sztandar opozycyi.

Wszelako konfederacya owa groźna skończyła się na uchwaleniu paktów konwentów. A Jacenty Junosza całą gorycz swej opozycyi tem wyraził, że wotował na Francuza którym atoli nie zbyt długo się cieszył. (C. d. n.)

JAN NEPOMUCEN KAMIŃSKI.

Odwieczną jest to prawdą, że zasługi po śmierci dopiero człowieka najjaśniej na jaw występują, bo oczyszczone z tych wszystkich wad i błędów ktore są człowieka

udziałem, a które zawiść umie tak snadnie wynaleść. Jest to pośmiertna a nieomylna sprawiedliwość! Prawdę tę tylokroć dowiedzioną, stwierdził na nowo zgon Jana Nepomucena Kamińskiego. Miał on za życia przyjaciół wielu zapewne, ale iluż więcej przeciwników, którzy umieli zawsze wynaleść i podnieść słabe jego strony. Ledwie umarł, zamilkły głosy przeciwne, a żal ogólny mieszkańców miasta naszego oddał hołd należny prawdziwym jego zasługom. Bo jakkolwiek mogły być podzielone zdania o jego wyższych czy niższych zdolnościach, sprawiedliwość ogółu wyrzekła: umarł człowiek zasłużony. I tak jest w rzeczy samej. Kto zechce przebiedz pamięcią minione pół wieku, z całą rozmaitością swych przejść i kolei, zdybie w niem nieraz nazwisko ś. p. Kamińskiego, i przyznać będzie musiał znakomite jego około sceny polskiej zasługi. Jeżeli scena polska we Lwowie przyszła do tego stopnia doskonałości, na jakim do niedawna jeszcze stała, najwięcej się do tego przyłożył zmarły Kamiński, który idąc za świetnemi śladami Bogusławskiego, poświęcił się zupełnie zawodowi dramatycznemu, i rzec śmiało można, scenę polską w naszej prowincyi stworzył, podniósł i walcząc z mnogiemi przeciwieństwami, utrzymał. By to poznać, przebiegnijmy bezstronnie całe życie jego.

Jan Nepomucen Kamiński urodził się dnia 27. października 1777 r. w Kutkorzu, wiosce, o pięć mil od Lwowa odległej. Szkoły odbył aż do filozofii włącznie we Lwowie, i w bardzo jeszcze młodym wieku objawiło się w nim wielkie do teatru zamiłowanie, i niemały talent dramatyczny. W owym czasie niebyło stałego teatru polskiego, i zaledwie nauczywszy się po niemiecku młody Kamiński biegał na przedstawienia niemieckie, które wówczas miały wyłączny swój przywilej. Zapalony do teatru, gdy ujrzał po raz pierwszy balet, I n k l e i J a r y k o, napisał tragedyę jednoaktową pod tym samym tytułem, i sam z swojemi współuczniami przedstawił w sali szkolnej. I wtenczas już pisywał wiersze, najwięcej okolicznościowe. Po raz pierwszy polską mowę usłyszał na scenie polskiej, gdy przyjechał Każyński z swem towarzystwem do Lwowa. Łatwo pojąć z jakim zapałem Kamiński słuchał przedstawień polskich. Gdy później przybył do Lwowa Morawski, dyrektor wędrownej sceny polskiej, Kamiński wziął się po raz pierwszy do tłumaczeń z niemieckiego, które aktor Nowicki wywiózł zaraz do Wilna. Prawdziwe wszakże powołanie jego dramatyczne ozwało się dopiero w r. 1794, gdy Bogusławski, ów prawdziwy ojciec polskiej sceny, przybył z swem towarzystwem do Lwowa, gdzie lat cztery bawił. Bogusławski poznał młodziutkiego w ówczas Kamińskiego, poznał w nim talent, polubił go i używał nieraz do rozmaitych tłumaczeń i przerobień. Pierwszem dziełem jego publicznie wtedy przedstawionem, była opera z włoskiego tłumaczona: *Drzewo Dianny*. Po wyjeździe Bogusławskiego zawiązało się we Lwowie towarzystwo amatorskie, które dawało bezpłatne przedstawienia w domu konsyliarza Wronowskiego. Duszą tego towarzystwa, głównym aktorem i nauczycielem był Kamiński. Niedługo to wszakże trwało, bo dyrekcya teatru niemieckiego postarała się o zakaz. Skończywszy w tym czasie filozofię poświęcał się zupełnie zawodowi dramatycznemu, do którego czuł pociąg widoczny. Występował on w ówczas razy kilka publicznie we Lwowie na przedstawieniach polskich, które przez miesięcy kilka dawano we Lwowie na korzyść spalonych mieszkańców przedmieścia krakowskiego. W 1804 r. pojechał do Kamieńca Podolskiego i tam stanął wkrótce na czele polskiego teatru, do którego zabrał ze sobą kilku z owych członków teatru Wronowskiego. Na wezwanie księcia Lubomirskiego udał się do Dubna, później do Kijowa a nareszcie do Odessy. Książę Richelieu, owoczesny gubernator Odessy, polubił Kamińskiego, i przez trzy lat jego bytności w tem mieście, opiekował się nim i polską sceną, która świetnie zakwitnęła nad brzegami morza Czarnego. Tam to Kamiński na własnych poznał się siłach, tam i siebie i drugich współtowarzyszy swoich wykształcił. W r. 1809 wrócił do Lwowa, własnym kosztem, bez wszelkiej pomocy i wśród nieprzeliczonych przeszkód utworzył stałą polską scenę we Lwowie, która też już odtąd pozostała w tem mieście aż do naszych czasów. Odtąd Kamiński ciągle był prawie dyrektorem tej sceny, a choć później samo bez dyrekcyi utrzymywało się towarzystwo, nie przestawał on być estetycznym, jeżeli nie dyrektorem to doradcą przynajmniej. I żelaznej trzeba było wytrwałości, silnego zapału, i nie małych chęci, by przebyć te wszystkie trudności z jakiemi ciągle prawie i nieprzerwanie walczył Kamiński. Dzieje tych walk mniej więcej znane, należą do dziejów sceny polskiej we Lwowie, i stanowić będą zawsze ogromną zasługę naszego Kamińskiego. Bo jemu niezaprzeczenie należy wdzięczność za to, że się ta scena nie rozeszła, że się tak usilnie utrzymywała, i przyszła nareszcie do takiego stopnia, iż grono artystów sceny lwowskiej stało się sławnem w całej dawnej Polsce. Wszystkie znakomitości tej sceny, rozwinęły się obok niego i przez niego. W tej mierze był on niezmordowany i rzec można szczerze, pracował więcej dla dobra ogółu, niźli dla własnego zysku, bo tak długi półwiekowy przebywszy zawod, najskromniejszego nawet nie zdobył dla siebie majątku; przeciwnie, do lat ostatnich prawie walczył z niemałemi potrzebami życia. A jak był w swej sztuce zamiłowany, mieliśmy obok wielu innych dowodów w późniejszym już wieku jego, gdy mimo sił starganych, przez miesięcy kilka pracował nad wykształceniem i przygotowaniem panny Teofili Ceneckiej. I nie mała to była rzecz, kiedy ta artystka wystąpiła po raz pierwszy w sali tak znakomitej, bo jako Joanna w dziewicy orleańskiej Szyllera. Powodzenie jej w tej roli pamiętamy przecie wszyscy, i wiemy że całe było dziełem Kamińskiego, mającego już

wówczas lat prawie 70. W młodszych leciech grywał i sam Kamiński. Nadzwyczajnego nie miał zapewne talentu, ale miał swoje role niektóre, w których się rzeczywiście odznaczył.

Jedną z takich była rola Karola XII. pod Benderem, którą oddawał charakterystycznie. Po raz ostatni jeżeli się nie mylimy, występował przed lat ledwie dziesiątkiem w Emilii Galotti, jako jej ojciec. Z rozczuleniem i zapałem patrzyli licznie zgromadzeni widzowie na starca artystę. Obok tych wielkich zasług jego co do sceny polskiej, nie można także przemilczeć o nadzwyczaj licznych jego pracach dramatycznych i innych. Dzieł jego dramatycznych, po większej części komedyj jest omal nie sto. Są to po większej części przerabiania z rozmaitych dzieł niemieckich. Między temi utworami jego są niektóre, które zachowują się dotąd i długo zachowywać będą we wszystkich polskich repertoarzach, jak n. p. Krakowiaków część druga, Szklamierzanki, Listopad, Twardowski na Krzemionkach i t. d. Niektóre także tłumaczenia jego należą do wzorowych, i zostaną niemi na zawsze, mianowicie: Lekarz własnego honoru, Kalderona, i Wallenstein Szyllera. Niemniej ładne są tłumaczenia jego niektórych innych ulotnych Szyllera poezyi, jak n. p. Dzwonu, Ideałów, Nurka i t. d. W ogóle wszystkie jego tłumaczenia odznaczają się dokładnem pojęciem myśli oryginału, wiernem jej oddaniem i jędrnością języka, przechodzącą nawet czasem w pewną manierę jemu właściwą, a której nabrał, pracując przez wiele lat nad filozoficzną etymologią języka polskiego. Było to jego najmilsze zajęcie, któremu oddał się z zapałem, i z którego wywinął się nie bez istotnej dla języka polskiego korzyści. Badania tego rodzaju były w owym czasie we zwyczaju. A że uczeń i następca jego w w tym zawodzie i w redakcyi z samych przypuszczeń wywinąwszy system cały, wiodąc wszystko aż do najdalszych wynikłości, w końcu swem dziełem wykazał jedynie niedorzeczność aż do śmieszności posuniętą tych zaciekań nie można tego kłaść na karb Kamińskiego. Dużo bowiem w Kamińskiego badaniach jest ziarn złotych, które właśnie uczeń jego pominął a budował jedynie na samych extrawagancyach. Wartałoby, aby ktoś z zdrowym sensem w głowie wybrał te złote ziarna z prac filozoficznych Kamińskiego odrzuciwszy wszystkie mrzonki i przypuszczenia do niczego nie wiodące. Z której więc kolwiek strony przejrzymy żywot zmarłego Kamińskiego, znajdziemy zawsze, że pracował szczerze i z zapałem dla pożytku ogólnego, któremu wytrwale poświęcał wszystkie siły i zdolności swoje. W dzisiejszym samolubnym wieku jest to wielka, jest to rzadka zasługa. Cześć należy się za nią Kamińskiemu, a pamięć jego pozostać na zawsze powinna w wdzięcznych sercach jego rodaków.

Ziemia Bełzka.

(Ciąg dalszy).

Gdy powiedziałem że chcę nieco zastanowić się jeszcze nad życiem, i domowemi obyczajami mieszkańców tutejszych, do różnych kategoryj należących, to przez to rozumiałem obywateli, czyli posiadaczy większych majętności ziemskich, duchowieństwo, i lud, czyli włościan. Wszędzie gdzieindziej w Galicyi te trzy klasy odrębne noszą na sobie cechy, i osobne niemal tworzą, nigdy się zazwyczaj nie schodzące z sobą kółka; tu jakoś przeciwnie, bo mimo różnicy stopnia, wykształcenia i zajmowanego w towarzystwie stanowiska, dojrzyć łatwo możesz ten jakiś wzajemny, braterski stosunek, łączący acz z nierównych składający się ogniw, ów łańcuch towarzyski. W żadnym może zakątku Galicyi posiadacz większego majątku nie pojął dotąd tyle owego prawdziwego stosunku, jaki dziś zachodzi między nim, a dawnemi jego poddanemi, ile tutaj, i z tej to właśnie przyczyny słyszeć się z tamtąd ciągle dają te żale i utyskiwania na trudne zawsze dostanie robotnika, na nieprzychylność i jednostajną niechęć włościan ku dworowi i t. p. Tutaj przeciwnie. Wszystkie roboty polowe i domowe odbywają się w zwykłym czasie, bez zachodów, odmawiań, licytacyi, wartowań z wozami po drogach i gościńcach, jak się to gdzie indziej dziać zwykło. A dlaczego? Oto, że między tutejszą szlachtą Bełzką, niby między rodzeństwem, bez poprzednich w tym względzie układów, zachodzi jakiś rodzaj solidarności w każdem ważniejszem przedsięwzięciu a zwłaszcza tam, gdzie o dobro powszechne idzie; powtóre że włościan traktowany tu jest w ogóle, (z małemi może wyjątkami) z tą jakoś wyrozumiała patriarchalną powagą, co to zdróżności, nadużycia, krnąbrności i złemu przykładowi nie przepuszcza, trzyma lud nawet w należytej uległości, ale jedynie mocą własnej wyższości umysłowej i moralnej, a bynajmniej nie majątkowej, hierarchicznej lub co gorsza wspomnieniem dawnej władzy *pana* nad *poddanym*. Z drugiej strony, włościan tutejszy, mimo zniesienia obowiązku opieki dworu nad gromadą, rzadki przykład aby czy to o jaką bądź pomoc udając się tu do dworu, z próżnemi wracał rękami, czy to rady lub protekcyi żądając, takowej nie zyskał. Ztąd więc rosną ciągle, i ustalają się wzajemne z natury obowiązki, które też i nie mało wpływają na prowadzenie łatwe i porządne tutejszych gospodarstw.

Dawniejszy tutaj zagrodnik, z małemi bardzo wyjątkami, posiada do 12 blisko morgów wybornej ziemi, zaś kmiecie mają i po 20. Ztąd lud okoliczny, zwłaszcza przy teraźniejszych cenach zboża, jest zamożny i dostatni — a dobry ten byt rożniący wieśniaka tutejszego, od wieśniaka n. p. obwodów zachodnich, objawia sie najprzód w obszernych i porządnych zabudowaniach, które należycie, zazwyczaj silnym, wysokim płotem okolone i bramą zamknione,

mieszczące w środku dom z izbami widnemi, jasnemi, z wyprowadzonym kominem, parę stodoł, szopę, spichlerz i ogródek lub sad, wyglądają jak osobne szlacheckie folwarki. Oprócz tego *w dobytku* t. j. w koniach, bydle i trzodzie, rzadki tu gospodarz, i to najbiedniejszy, któren by nieposiadał najmniej trzy koni i 3 — 4 krów, a są tacy co mają i po 8 koni, bydła zaś do 10 sztuk, nie licząc w to owiec i nierogacizny. W ubiorze za to wieśniak tutejszy nie kocha się. Baczy on bowiem więcej na wygodę a niżeli na ozdobę, dobry kożuch a czasem i drugi od parady, dostatnie latem i zimą buty, im wyższa, tem paradniejsza czapka z baranem, a latem słomiany kapelusz, wreszcie siermięga brunatna, z domorodnej wełny i domowej roboty, otoż i cały zbytek tutejszego bogacza! Dla tego też i najbaczniejsze nawet oko nie dojrzy tu z ubioru od jednego rzutu jak gdzie indziej n. p. w krakowskim lub na Mazowszu, owego uderzającego przedziału między młodzieżą a wiekiem poważnym. Tutejszy parobek tak jak i dziewka, równie tak jak i starcy, latem i zimą zakotuleni w bure, po kostki długie świty, wyglądają zdala, zwłaszcza gromadnie idący, jakby jaki uroczysty pochód pielgrzymów lub mnichów. Lud to nawet i wśród zabawy smutny, daremnie byś tu nadsłuchiwał jakieś polnej, wesołej piosnki a bodajby i dumki! Z niskąd nic podobnego do ucha twego nie doleci — ani od żniwa, ani z błonia ni lasu i ani nawet z karczmy, chociażby i w dnie prażników, jarmarków i nawet wesel. Wodkę i lubią i piją, ale się nią jakoś, przynajmniej publicznie, nie upijają. Przez 9 blisko miesięcy jak tu bawię w tych stronach, nie słyszałem ni razu owego półwesołego, pół junackiego okrzyku karczemnego, ani piosnki w dnie letnie, jakiemi to w krakowskim aż drzy powietrze, błonia, i okoliczne bory! Pijanego zaś, taczającego się po drodze, raz jedynie spotkać mi się tu zdarzyło.

Ale jeżeli chłopak tutejszy pije nie zbytkownie lub pijąc nie upija się, to za to znowu jeść lubi namiętnie, a nawet nad miarę, a to do tego stopnia, że najwięcej chorób między niemi się wydarza z przeładowania żołądków. Wieśniak tutejszy zwykł kilka razy do roku sprawiać pod rozmaitemi pozorami domowe uczty, na które licznych sąsiadów sprasza, i dla okazania swojej zamożności i.... a może głównie dla tego, aby był znów nawzajem proszony. Między innemi pierwsze tu miejsce zajmują tak zwane *pominki*, czyli żałobny obchód za rodziców i krewnych. Po odbytem solennem nabożeństwie zaszczyca zwykle swoją obecnością taką ucztę i paroch miejscowy. Na biesiadę podobną poświęcają mnóstwo drobiu, prosiąt baranów, wieprzów i zboża; piec bowiem zwykli wówczas przeróżnego ksrtałtu, jakości, nazwiska i kompozycyi chleb, a cała ozdoba i zbytek zastawy zasadza się na tem aby było dostatnio chleba, i żytnego i pszennego i nadziewanego serem, makiem, greczaną kaszą nawet słoniną, co nazywają *knyszami*, i w kształcie bułek i pierogów i bochenków, owo zgoła i tak, i owak. A że biesiada taka trwa czasem i do 3 dni, więc przy dzisiejszych zwłaszcza wysokich cenach zboża kosztuje nieraz Amfitryona i do 150 złr. A cóż mówić o zapustach, chrzcinach, weselach, różnych dorocznych świętach, których kościół wschodni mnóstwo obchodzi! a wreszcie prażnik, co w każdej niemal wsi raz do roku odbyć się musi? (D. c. n.)

Rozmaitość.

*** Z nad ujścia Wisłoki.** (Dokończenie.) — Po czarnej kawie mężczyzni poszli do pokoju mojego ojca, tam ich czekały fajki, wist lub mariasz. O diabełku, cygarach i preferansie wtedy się nie śniło, my zaś dzieci zostawaliśmy z matką i bawiliśmy się lepieniem różnych bawidełek z opłatków. Domy i pałace różnego rozmiaru i kształtu, światy różnobarwne które na przeciągniętej nitce się obracały były nasze arcydzieła, i proszę mi powiedzieć, czy nie warci byliśmy zazdrości?

Mieć swój pałac i do tego módz obracać światem! Wszak w naszej dziecinnej wyobraźni mogliśmy się równać nie z jednym monarchą świata, co dzisiaj siedząc w pałacu, chce obracać światem, tylko że to jakoś ten jego świat nie na nitce i nie z opłatków zlepiony!

Tak nam czas mijał aż do północy, wtedy zobaczyliśmy światło w oknie, była to gwiazda papierowa, z którą czeladź podeszła pod okno i śpiewając:

»Anioł pasterzom mówił,
»Chrystus się nam narodził.

przypomniała nam że czas na mszę pasterską.

Wtedy wszyscy ruszyli do kościoła, a moi rodzice zaprosiwszy na obiad proboszcza wrócili ledwie nad ranem.

W pierwszy dzień świąt zwykle prócz proboszcza nikogo z gości nie było, bo tylko proboszcz mógł się odważyć jechać w tak dzień uroczysty w odwiedziny. Ale zato na ś. Szczepana mnóstwo było gości i znowu obiad paradny, i kielichów co nie miara, bo któż w Polsce dawniej, chociażby był dzieckiem, widokiem gości się nie ucieszył!

A dzisiaj! O jakże inaczej święta obchodzimy! Dziś każdy w sobie zamknięty, gości nie zaprosi, bo albo ich nie jest w stanie ugościć, lub też obawia się aby go goście, jedni że za nadto wystawnie drudzy że nie modnie wystąpił, nie obmówili. O łamaniu opłatków z domową drużyną ani myśleć, bo z kim że się tu łamać? Jedni kradli i kraść będą, drudzy wyglądają tylko ś. Szczepana, aby opuścić służbę, bo im tam ktoś więcej obiecał! Słowem nie ma u nas życia patryjarchalnego, a czego bym gdybym był dzieckiem najwięcej załował, że nawet zupa migdałowa z ryżem i rodzynkami, a za nią i owe lepione z opłatków pałace i światy jakoś z mody wyszły. Bo te wszystkie Christbaumy i Weinachtsgeschenki, owe cacka na które teraz i u nas sklepy się wysadzają, nie przemówią do serca polskich dzieci, bo to nie swojskie, to nie narodowe i milszy dziecióm świat z opłatków, ręką dobrej matki sklejony, jak wszystkie owe z zagranicy sprowadzane dziwadła!

Przepraszam bardzo za moje zdanie, tak otwarcie wyrzeczone, tem bardziej że tu podniosłem głos w imieniu dzieci, ale może ja w skutek lat i mojej łysiny zdziecinniałem i do dzisiejszego świata się nie stosując, powtarzam już znaną zasadę: szanujmy obce ale niezapominajmy i o swoich obyczajach!»

Winien jestem poprawić myłkę w mojej korespondencyi z dnia 16. Grudnia, bo kontuszowy detaxator za czas od środy do piątku

nie 58 złr. $35\frac{3}{4}$ kr. ale 158 złr. $35\frac{3}{4}$ kr. dyjety sobie naliczył. Pereat mundus, fiat justitia! Mój kontuszowy detaxator mógł by stracić względu u komornika, gdyby ta myłka nie była sprostowaną.

* **Z nad Zbrucza** dnia 5. b. m. Przed świętami Bożego narodzenia szło dwóch żandarmów po tej stronie Zbrucza, we wsi Olchowczyku, gdzie na przeciwległym brzegu są koszary żandarmerii rossyjskiej. Przyszedłszy naprzeciw koszar, padł strzał karabinowy na nich ze sieni, a kula przeszła po między nich, nieuszkodziwszy żadnego. Komisya śledcza, przedsięwzięta tamtego tygodnia, przekonała się o istotnej prawdzie tego wypadku, przywoławszy i dwóch chłopów, którzy byli temu obecni i to swojem zeznaniem stwierdzili.

Powód do tego miał być następujący: Major żandarmery i rossyjskiej jechał sankami po tamtej stronie Zbrucza, i utrzymuje jakoby z tej strony strzelano do niego, o czem nawet zdał raport. Przedsięwzięte śledztwo w tym celu dowiodło bezzasadności tego sprawozdania.

W naszej okolicy śnieg li tylko pokrył ziemię, niema dobrej sannej drogi, ale zato będą może lepsze urodzaje, gdyż role jeno na parę cali zamarzły, a zima łagodna.

Handel znacznie się zmniejszył od czasu zakazu przewożenia zboża z lewego brzegu Zbrucza. Kupcy niemają teraz najmniejszej nadziei otrzymania pozwolenia do przeprowadzenia zboża zakupionego jeszcze przed 1szym Grudnia w okolicy Kamieńca podolskiego. Nawet się o to niestarają, ponieważ są pewni, że ich zabiegi byłyby nadaremne, gdyż niczyje straty nie będą wzięte na wzgląd.

Od d. 1. Grudnia wcale nic zboża nieprzywieziono do Husiatyna z krain pod rządem rossyjskim. Z powodu tego wszelkie rodzaje zboża znacznie podrożały. Pszenicy korzec po 10 złr. Kukurudzy korzec po 9 złr. m. k. i wyżej. Jeczmienia korzec po 8. złr. m. k. Owsa korzec po 6 złr. 30 kr. m. k. Garniec wyskoku gorzałczanego 30 stopniowego po 1 złr. 30 kr. m. k.

W przeciągu ostatnich trzech tygodni przywieziono ztamtej strony Zbrucza do Husiatyna znaczną ilość łoju, do 400 cetnarów, i miodu przeszło 300 półbeczków. Cetnar łoju przedawano w Husiatynie po 31 złr. m. k. Kamień miodu (36 funtów naszych) po 5 złr. 15 kr. m. k. Oleju konopnego przywieziono przeszło 100 cetnarów, przedawano cetnar po 31 złr. m. k.

Na Podolu po lewym brzegu Zbrucza są znaczne zapasy zboża. Żyto nieudało się i tam w tym roku. W okolicy Kamieńca podolskiego niema kupców na zboże. Mączarze tylko kupują, i płacą za korzec pszenicy 12 złp. Za korzec żyta 13 złp. Korzec owsa najlepszego można tam dostać za rubla.

Wystawa obrazów, urządzona przez Tysiewicza (C. d.)

Trzecim z kolei co do rysunku i kolorytu obrazem jest Judyta i Holofernes, kopia z Verneta zrobiona przez p. Tysiewicza.

Przedstawia ten obraz Judytę przed spełnieniem czynu, zbliżającą się do Holofernesa. Przecudnie jest oddany wyraz twarzy Judyty. Widać w niej spokój i silne postanowienie. Z zupełną świadomością poświęca się za naród. Judyta z mieczem w jednym a uciętą głową Holofernesa w drugim ręku, tryumfująca, jak ją przedstawiać lubili dawniejsi malarze, ma zawsze w sobie coś odrażającego. Bo Judyta po zabiciu Holofernesa, choć zbawia naród, sama jednak jest morderczynią. Przytem kobieta z uciętą głową w ręku, to co ma być uosobieniem łagodności, cieszące się z morderstwa, musi razić widza. Daleko więc stosowniejsza, więcej poezyi w sobie mająca jest ta chwila w której Judytę Vernet przedstawił.

Piękną harmonią kolorów mile wabi oko drugi obraz oryginalny, Herbsthoffera, w rozmiarach wielkich: *Pokuszenie św. Antoniego.* Malarz odstąpił od tradycyi szkół malarskich, wyobrażających św. Antoniego, już w wieku podeszłym na pokusy szatańskie wystawionego, Św. Antoni wyobrażony jest tu w pełnej sile wieku. Szatan zjawia się w postaci dwóch niewiast. Widać w ś. Antonim młodą krew wzburzoną, włosy mu na głowie powstają. On konwulsyjnie prawie trzyma się podstawy krzyża, a choć w twarzy namiętność silna się przebija, widać jednak silne postanowienie, widać iż oprze się wszelkiej pokusie, iż się nie zachwieje. Jedna z niewiast jest uosobieniem zmysłowości wyzywającej, druga blada, słaniająca się, wabi go właśnie tą swoją biernością. Pędzel bardzo piękny, zgodność kolorytu nadzwyczajnie miła.

Przejdźmy teraz do orginalnych obrazów pędzla Tysiewicza:

Dwa wielkich rozmiarów obrazy, przeznaczone do kościołów przedstawiają jeden ś. Piotra, drugi ś. Pawła. Obrazów ś. Piotra zupełnie do siebie podobnych zrobił dwa p. Tysiewicz. Jeden zakupił rząd francuzki na wystawie paryskiej, sobowtór zaś tamtego przywiózł tutaj p. T. Wykonanie jest bardzo piękne, koloryt harmonijny, a co bardzo ważna, rysunek jak najpoprawniejszy. Św. Piotr wsparty jest na mieczu, którym uciął ucho Malchusowi, w prawym ręku trzyma klucze od nieba. W głębi kur piejący, przypomina trzykrotne zaparcie się jego, a morze w oddaleniu, stan jego rybacki. (D. n.)

Przyjechali od dnia 8. do 9. Stycznia do Lwowa.

PP. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Zaremba Bolesław, ze Złoczowa. Dobrzyński Franciszek, z Tarnopola. Domoradzki Ludwik, z Kołodziejowa. Ochocki Władysław, z Rymanowa. Barański Karol, z Chłopczyc. Kotkowski Apolinary, z Hawłowic. Janiszewski Teofil, z Krzemieńca. Zborowski Prosper, hr. ze Skołyszyna.

PP. Rubczyński Maurycy, z Bilanówki. Tyszkowski Antoni, z Michałowki. Gardowa Jan, z Kalnego. Niewiadomski Tadeusz z Tuligłów. Rosnowski Franciszek, z Tartakowa. Żurakowski Jan, z Zadarowa. Lewicki Józef, z Bonowa. Bocheński Wiktor, z Milatycz. Bocheński Jozef, z Głemboczka.

Wyjechali dnia 8. do 9. Stycznia ze Lwowa:

PP. Kamiński Jan, do Przemyśla. Lange Ignacy, do Wolicy. Zamarski Jan, do Złoczowa.

PP. Stadnicki Aleksander hr., do Wościsk. Winogrodzki Albin, do Hłuboczka. Zaremba Bolesław, do Żółkwi. Trzciński Jozef, do Derewacza.

Kurs telegrafowany z Wiednia 10 b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{7}{8}$	Pożyczka 5% $85\frac{1}{2}$	$4\frac{1}{2}$ 74
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{3}{8}$	Akcye banku	1037
Londyn za 1 funt szterl.,	12 7	Kolej północna	1990
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$146\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$102\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	—	Pozyczka narodowa . .	$87\frac{7}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	48	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	53	»	5	«	55
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	1	»	10	«	4
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	52
Talar pruski	»	1	«	55	»	1	«	58
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	90	«	30	»	91	«	—

Obligacye. indemnizacyjne 74 — do 74 złr. 15 kr.

Eingesandt.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**